

Wieczory teatralne

665

Fiodor Dostojewski jeszcze w maju 1873 roku z entuzjazmem odnosił się do projektu przerobienia swego opowiadania „Sen wyjaszka” na komedię. Jednak już we wrześniu przyznał, że utwór posiada „zbyt mało treści” i nada się „co najwyżej na wode-willek”, nie zgadzając się na umieszczenie swego nazwiska na teatralnym afiszu. Nic dziwnego, że Wielki Mroczny Fiodor, który po 10 latach powrócił (w 1858 r.) z zesłania na Syberię, odnosił się z niechęcią do swej syberyjskiej twórczości. Wszak zależało mu wówczas na powrocie, na łaskawości władców i, aby nie drażnić carskiej cenzury, pisał lekkie, beztróskie opowiadania. Takie jak „Sen” — nietypowe dla siebie i dalekie od tego, czym dziś jeszcze porusza i drażni.

Krzysztof Rościszewski swoje panowanie we Współczesnym rozpoczął od „Zbrodni i kary”. Teraz, być może nieco ironicznie i przewrotnie sięgnął po „Sen”. Niezwykły skrót — od mroków duszy do rodzajowości. Pomyśl cenny, gdyż pokazuje nam innego Dostojewskiego. Jednak z klimatu „Zbrodni i kary” trudno tak łatwo się uwolnić. Odniosłem wrażenie, że Rościszewski usiłował nadać temu utworowi znaczenia, których nie posiada, niepotrzebnie chyba wzbogacić o typowo dostojewską głębię. Wyszło z tego widowisko, będące na skrzyżowaniu lekkości komedii i

gorczy tragedii. Ta niejednorodność i niespójność przesłania widoczna jest także w warstwie inscenizacyjnej.

Ludwik Flaśzen napisał kiedyś, iż „teatr pokrewny magii, jest rozpętaaniem demonów, choćby wyparłszy się swej pierwotnej istoty, stroił się w pudrowane peruki uczoności i myślowej dyscypliny”. Rościszewski spróbował

Sen na jawie

rozpętać owe demony i uzyskać zarazem myślową dyscyplinę. Ale klucz do tego okazał się wytrychem, a „Sen” pułapką bez wyjścia. Nie pomogły nawet bogate dekoracje, dowcipne (jedynie w zamierzeniu) sytuacje, ani drugi „senny” plan. Zabrakło rzetelnego, scenicznego dialogu i autentycznych postaci. Marniaż psychologizmu z powierzchownością to zbyt mało na sukces.

Wśród aktorów jedynie Krzysztof Kuliński próbował miejscami zagrać coś więcej niż tekst. Dzięki temu udało mu się stworzyć żywą postać. Nie manekina, nie lajkę, czy karykaturę, ale właśnie — żywą postać, kogoś, kogo nie trzeba lubić, ale komu się wierzy. Jego Paweł rozdarty między buntem a uniżonością, człowiek z ambicjami i masą

kompleksów, pozostał jednak dotkliwie samotny. Pozostali wykonawcy albo nie zechcieli opuścić wygodnych kokonów konwencji (realizując zadania jakby wbrew sobie), albo też nie zdobyli się na nic więcej, niż koturnowość odtwarzanych postaci.

Jak widać z powyższych uwag nie jestem bynajmniej admiratorem „Snu”, ale też daleki jestem od ostrzeliwania tego spektaklu kanonadą błyskotliwych i złośliwych uwag, jak rządził to uczynić mój Szanowny Kolega z „Dolnośląskiej Gazety Wyborczej”. Skłonny byłbym raczej pozosta-

wić Strindberga i Genowefę Pigwę na właściwych im miejscach. Nie o nich bowiem i nie z nimi był ten spektakl. Nie strzelajmy do teatru! Kłóćmy się z nim, ale nie strzelajmy. Wszak to z niego i z nim żyjemy. Spektakl na Rzeźniczej nie był ani koszmarem, ani marzeniem sennym. Był porażką, do której prawo pozwolił sobie zachować i po przebudzeniu.

ROBERT RÓŻYCKI

„Sen”, F. Dostojewski, przekład Lidia Zamkow, reż. — K. Rościszewski, scenografia — Andrzej Markowicz, muzyka — Andrzej Tuchowski, Teatr Współczesny, Wrocław, marzec 1992.